Nr 8. Lwów w sierpniu 1897. Rok XX.



Prenumerata roczna: 5 zł., 10 mr., 5 rs., 12 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi z początkiem każdego miesiąca.

JELEŃ.

Napisał

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

IV.

[Wieńce. — Preparaty lecznicze z tychże. — Środki z innych części ciała jelenia. — Złote wieńce dla Chińczyków. — Wiek — długowieczność. — Trofea dawne i obecne. — Monstrualna różnica w wieńcach jeleni karpackich. — Zrzucanie — znajduchy — grandle].

W normalnym stanie rzeczy jeleń 12tak lub co najwyżej 14tak osiąga najwyższy stopień rozwoju gałęzi i tylko dotąd można zauważyć panowanie jakichś prawideł w tworzeniu się gałęzi. Następne formy są to same niespodzianki, cechy indywidualne urągające wszelkim prawidłom.

Mając sposobność oglądania niezliczonych ilości wieńców stanowiących trofea $^1/_2$ millenium, mogę śmiało powiedzieć, że od 14 gałęziowej formy począwszy, nie mogłem w żadnym wypadku dopatrzyć się jakiegokolwiek systemu w wytwarzaniu się dalszych gałęzi. Zazwyczaj przybytek nowych, dalszych gałęzi ogranicza się na końce łodygi głównej, jednak grupowanie się tychże w tem miejscu nie da się nigdy przewidzieć i przedstawia nieskończony szereg form i budowy. Rozwój i ilość gałęzi nie idą w parze z wagą i długością, przeciwnie wieńce o kilkudziesięciu gałęziach nie dorównywują częstokroć wielkością lub wagą formom bardzo pojedynczym, a nieraz wieniec taki robi wrażenie skarłowaciałego krzaku, który nie mogąc rozwijać się w górę, wytworzył mnóstwo gałązek bocznych i monstrualne przybrał kształty. Formy myłkusowe u jeleni nie są tak częste jak u parostków koźlich, a gdy parostki zagadkowością swych kształtów myłkusowych przeważnie zajmują przyrodnika, u jeleni dowolność i przypadkowość w kształtowaniu się wieńców niemyłkusowatych, bo odbywających najregularniej

cały cykl zmian fizjologicznych budzi niemniejszą ciekawość i prawdopodobnie stała się dodatkową przyczyną dopatrywania jedynie w tym proteuszowym wytworze jakichś misternie ukrytych sił sanacyjnych. Róg jeleni w kabalistyce i lecznictwie wszystkich narodów świata odegrał niepospolitą rolę, w czasach, gdy zagadkowość przyrodnicza sama przez się kwalifikowała pewne wytwory do takiego użytku. Z medycyny ludowej przeszedł róg jeleni do farmakopei, a preparaty „Oleum cornu cervi, Oleum animale foetidum“ osiągnęły sławę naukową, jako środek przeciw mnóstwu ułomnościom, a szczególnej przeciw pasożytom wewnętrznym. Ale do wyrobu tego preparatu nie koniecznym jest róg jeleni, chemia wreszcie zdarła monopolu szatę — wytwarzając tę samą substancyę suchą destylacyą z byle jakich odpadków zwierzęcych, a po dziś dzień jest on ubocznym produktem przy wyrobie salmiaku. Róg jeleni jest właściwie kością i składa się z 40—57$^1/_2$ substancyi mineralnej tj. fosforanu i nieco węglanu wapna i z 43—60 substancyi klejodajnej. Czem więcej wykształconym jest róg, tem bardziej przeważa w nim skład mineralny, podczas gdy przeciwnie w rogach młodych, scypułem okrytych, przeważnie substancye organiczne występują tak dalece, że z całkiem młodych gomułów wyrabiano i u nas w dawnych czasach rodzaj marynaty cenionej przez smakoszy. Jeszcze w drugiej połowie zeszłego stulecia oprócz preparatów z rogu jelenia można było znaleźć w aptekach inne arcana, pochodzące z jelenia. „Kość serca jeleniowego“ należała ponoś do najskuteczniejszych, szpikiem nacierano nogi w podagrze, skórą okrywano położnice chcąc sprowadzić lekki poród, a „kiszka sercowa“ (aorta zapewne) sproszkowana, miała regulować uderzenie pulsu. Części płciowe w małych nawet dozach zażyte, leczyły bezpłodność i impotencyę itd. itd., cały arsenał środków urojonych spływał swem błogosławieństwem od zwłok jelenich, a „signa naturae“ wskazywały drogę łoice na tej nader pochyłej płaszczyźnie.

Trudnem to jest do wiary, że w czasach, w których Karol August siedział na Wajmarskiej stolicy, w czasach, gdy dwór tego książęcia był siedzibą umysłowej arystokracyi pod każdym względem, sprzedawano w aptekach tuż pod dworem krew kozłą, olej ze szkorpionów, palone żaby, a w r. 1761 w Dreznie można było kupić w aptekach sadło ludzkie, wątrobę wilczą, płuca lisie, palonego kreta (Neu eröffnetes wundersames Arzneikästlein Wiliam Marshall 1894), no i rozmaite urojone leki z jelenia, który po wszystkie czasy w tej kwaksalberyi odgrywał bardzo poważną rolę. Nie dziw przeto, że jeden z największych geniuszów ludzkości patrząc na to wszystko, włożył w usta swego bohatera słowa, wyprzedzające pojęcia i zwyczaje swego czasu:

„So haben wir mit höllischen Lertwergen
In diesen Thälern, diesen Bergen
Viel schlimmer, als die Pest gehaust“.
(Faust).

Wielką wartość jako środek leczniczy posiadają rogi jelenie jeszcze za dni naszych w Chinach, gdzie od tysięcy lat wszystko spoczywa na nieruchomym szczeblu. Kupcy z Niebieskiego Państwa udają się w celu zakupna rogów w scypule z jelenia Moral w góry Altajskie, płacąc za nie bajeczne ceny, bo do 200 rubli za sztukę. Chłopi syberyjscy łowią też żywe Morale i utrzymują je na towar dla Chińczyków. Zazwyczaj w Syberyi południowej płaci się funt rosyjski takiego specyału po 4 dolary, a po wysuszeniu i sproszkowaniu sprzedają proch ten na wagę srebra. Autor, z którego dzieła wiadomość tę czerpię, dodaje, że rogi jelenie zakupione przez kupców chińskich, z którymi podróżował statkiem na jeziorze Bajkalskiem przedstawiały wartość 6000 dolarów. We wschodniej Syberyi nad Ussuri, dopływem Amuru, mają podobną wartość dla Chińczyków gomuły, odmiany jelenia Isubr, ztąd też ochrzcili je „złotemi“ tamtejsi myśliwi.

Trudno oznaczyć granice ilości gałęzi, do jakiej mogą się rozrość wieńce jelenia, o ile dotychczasowe doświadczenia sięgają, 66cio gałęziowy wieniec w zamku Moritzburskim jest nieprześcignionym w tym kierunku okazem. Jeleń ten liczył 33 lat życia.

Według mniemania świata starożytnego życie jelenia miało być bardzo długotrwałe — jeleń mógł unieść na swych barkach straszne brzemię lat, przeżywszy 4 pokolenia kruków, a 36 pokoleń ludzi. Wiara ta nadała mu u Rzymian przymiotnik „vivax“ — długowieczny, ztąd do odmładzających elixirów dodawano koniecznie jakieś części z ciała jelenia. Medea warząc taki napój dla Jazona, używa oprócz głów wronich, także i wątrobę jelenia.

Nasi przodkowie mieli również przesadne wyobrażenia w tym kierunku, podobnie jak inne narody środkowej Europy, a szczególnie przypisywano jeleniowi jakąś nadzwyczajną siłę odporną przeciw wszelkim obrażeniom. Jeleń niepostrzelony śmiertelnie miał wyszukiwać wśród roślinności gojące środki, a szczególnie pasąc Dyptam wnet do zupełnego zdrowia powracał. Za przykładem tym idąc Syreniusz w zielniku swym pod niebiosa wysławia cudowne skutki tego ziela, również i dla ludzi, których ówczesne zwyczaje nastręczały szerokie pole do praktycznego wypróbowania skuteczności Dyptamu.

Pomimo, że niełatwą jest rzeczą sprawdzenie możliwego wieku jelenia w wolnej naturze, pomimo, że jeszcze Walter Scott, a nawet i późniejsi wspominają o metuzalemowych latach tego zwierza (150 lat), to jednak w pojedynczych razach udało się dokumentnie sprawdzić wiek jelenia na egzemplarzach noszących na sobie jakieś wybitne cechy, a to, co tutaj sprawdzono, obala do gruntu starożytne wierzenia. 30—40 lat zdają się być kresową granicą wieku jelenia, a te same lata osiągają jelenie parkowe, jeżeli tylko znajdą się w odpowiednich swej przyrodzie warunkach. Słynny Uphill, ulubiony jeleń króla Jerzego III, zginął ze starości w parku Richmond w 30 roku życia.

Niezawodnie, że pochop do przesadnej oceny wieku jelenia dały wieńce, jako wytwór najbardziej w oko wpadający. Monstrualna wielkość, waga, gałęzistość tychże miały być przywilejem sędziwego wieku, rzucone w tym kierunku jajko domysłów urosło wreszcie, tocząc się coraz dalej, do wielkości kuli armatniej.

Niezawodnie, że wielkość, waga i gałęzistość wieńców dają pewną miarę siły i dojrzałości zwierza, mylnemby jednak było mniemanie, jakoby z wiekiem rosły w nieskończoność przymioty wytworu zależnego tak ściśle od funkcy fizyologicznych i ich energii. Przeciwnie, gdy odtwórcza siła ustroju z wiekiem usypia, dają się szczególnie na tym wytworze spostrzegać niedostatki. Albo odmiana wieńców odbywa się nieregularnie, albo pojawiają się formy zacofane, lub wreszcie osadzają się bardzo pokaźne gomuły, którym jednak hamowany wiekiem organizm nie jest już w stanie dostarczyć materyałów — sędziwy taki jeleń zakłada silne fundamenty, lecz budowy dokończyć nie może. Końce górnych gałęzi pozostają miękkie, niezmineralizowane i raczej zasechają później, jak się wykształcają, co łatwo poznać

można po ich matowej powierzchni, podczas, gdy końce wieńców jeleni silnych lśnią niby kość wygładzona. Rzecz łatwa do pojęcia, że okazy takich wieńców sędziwych w naszych czasach należą do rzadkości.

Jeszcze w daleko większej mierze jak u kozłów, jest siła i gałęzistość wieńców cechą ras lokalnych, i powstaje pod ustawicznem działaniem pewnych czynników przyrodniczych, ztąd też pojęcia o wadze i gałęzistości wieńców są tak rozmaite, jak wielka różnorodność wpływających na to czynników. Buffon w 1756 opisuje 20taka jako rzadkość, Gessner w 1560 wspomina jak o rarytasie o jeleniu 30-gałęziowym, a nasz Rzączyński spogląda na 36-gałęziowe wieńce w rycerskiej sali w Gdańsku z największem zdziwieniem. Monstra pod względem ilości gałęzi były jednak i w dawnych czasach rarytasami. W roku 1613 pośród 276 jeleni ubitych w Prusiech, znalazł się jeden tylko o 26 gałęziach. Nad wieńcem 20taka ubitego na rykowisku w 1656 r. 17. września w Saksonii, ważącym 34 f. zawieszono pamiątkową tablicę w Moritzburgu. Ważył on 565 f., a szczęśliwą Nemrodką była jak świadczy napis: Durchlautigste Hochgeboren Fürstin und Frau Magdalena Sybillen aus Churfürstlichen Stamme und vermählte Prinzessin zu Sachsen Cleve und Berg.

Wprawdzie wśród trofeów naszych czasów trudno wykazać takie monstrum jak wspomniany 66 gałęziowiec z Moritzburga, ale trafiają się i po dziś dzień jeszcze wieńce w których, jak to mówią, Pan Bóg rachubę zgubił.

W parku Forstenried w Bawaryi spacerował jeszcze niedawno jeleń o 36 gałęziach, a w 1889 ubił hr. Lamberg na rykowisku w Perehińsku jelenia o tak potwornych wieńcach, że sprawozdawca tych łowów przysądzał już im z góry najwyższą nagrodę na wystawie peszteńskiej — co znaczy wiele, bo kraina Arpada może się czemś pochwalić na tem polu. Był to prawdopodobnie ten sam jeleń, którego widział rok przedtem w d. 21 października śp. arcyks. Rudolf na rykowisku w Jasieniu. Podówczas zwierz wyszedł w ten sposób stanąwszy w gąszczy, że strzał był jedynie na sztych możebny i cofnął się wnet niestrzelany. Arcyksiążę zapamiętał go sobie jednak bardzo dobrze i wspominał później o widzianym kolosie, zwąc go „Ungethüm“.

Przejrzawszy galerye historycznych wieńców jeleni i porównywując je z tem co dzisiejsze łowiectwo w rozmaitych krajach zdobywa, musi się nieco zachwiać zaufanie do banalnych pochwał dawnych czasów, które i w tym kierunku miały być o wiele lepsze. Imponujące wprawdzie czynią wrażenie te niezliczone masy ogromnych wieńców, jakiemi zawieszono od wieków ściany sal i krużganków zamkowych, jednak i rogalom naszych czasów nic nie brakuje, a jeżeli więcej tam nadzwyczajności tak w budowie, jakoteż w wielkości, jak to wykazuje współczesna praktyka, to powód ku temu łatwo zrozumiały: li tylko okazy nadzwyczajne pod każdym względem wędrowały na ozdobę ścian. Może się wydać dziwnem, gdy idąc jeszcze dalej, powiem, że prawdopodobieństwo powstawania monstrualnych wieńców jest w naszych czasach większem, jak to niegdyś bywało, tem większem pod wpływem kulturnych dobrodziejstw, płynących w spekulatywnych celach coraz szerszym korytem na zwierzostany jeleni, a wypaczających częstokroć zapamiętałą jednostronnością prawidłowe ścieżki natury.

Już samo karmienie zwierza paszą sztuczną, jako nieuniknione złe w obecnych stosunkach kulturnych, może zwichnąć fizyologiczną równowagę i spowodować chorobliwą monstrualność w jednym kierunku, a cóż dopiero może się dziać, gdy w dyetetyce zwierza zacznie swą grę cała apteka środków jednostronnie pobudzających organizm; wszak tu chodzi o produkcye wspaniałych rogaczy, o formy wyprzedzające wiek zwierza!

Dążąc do takiego celu hojnie rozrzuca ręka hodowcy ziarno, rozmaite placki, proszki, lizawki, same kombinacye fosforanu wapniowego ze środkami pobudzającymi i osiąga się wreszcie co się mieć chciało. Jeleń, który w stanie wolnej natury zmuszonym był na wielkich obszarach zbierać zwolna materyały do podtrzymania wytwórczej równowagi, który stalił swe badyle ciągłym ruchem, a hartował przewody odżywcze karmą trudno strawną, ale pobudzającą do energicznej czynności cały ustrój, teraz gnuśnieje, traci odporność wrodzoną, osadza nadmierne i wiek zwierzęcia wyprzedzające wieńce, ale równocześnie i wszystkie inne funkcye życiowe przyspieszonem uderzają tempem, objawia się zawcześnie popęd płciowy ze wszystkiemi potwornościami, wywierając najzgubniejszy wpływ na organizm istniejących i przyszłych pokoleń, badyle tracą przed czasem siłę i elastyczność, zwierz przywykły do gotowizny staje się coraz więcej zniewieściałym, opadają go najrozmaitsze pasożyty, a byle jakie wybryki klimatu, zabierają niezliczoną liczbę ofiar. Jednem słowem następuje tu pod wpływem jednostronności zwyrodnienie, największa plaga zwierzostanów jelenich w kulturnej Europie.

O ile wpływ człowieka zaznaczył się w formacyi wieńców historycznych, niepodobna rozstrzygnąć; pochodzenie tych trofeów nie zawsze się da sprawdzić. Jeleń od niepamiętnych czasów utrzymywany w zwierzyńcach, dostawał się częstokroć do wolnej kniei i już sama ta gwałtowna zmiana mogła się odbić na tak czułym wytworze i wpłynąć na monstrualność. Jak to i obecna praktyka poucza, monstrualność w wytworze wieńców może powstać i w wolnej naturze skutkiem powstania jakichś wyjątkowych warunków, a nawet może stać się dziedziczną, jednak wyjątki te nie mogą obalić zdania wielkiego w tym przedmiocie praktyka: Die Träger solcher Gehörne mögen zumeist von Hirschen abstammen, welche im halb gezähmten Zustande ein qualitativ überreiches Mass von Ansung geboten war (R. v. Dąbrowski Geweihe und Gehörne 1884 pag. 64). Naturalnie, że pod tym „Ansung“ rozumieć należy wszystkie dobrodziejstwa opieki ludzkiej, na które jednak, niestety wielki duch natury odpowiada zbyt często: „Sint ut sunt, aut non sunt“.

Jelenie górskie również i wieńcami różnią się nieco od jeleni na dołach, a u tych zdarzają się o wiele częściej formacye monstrualne o nadmiernej ilości gałęzi, gałęź zaś druga od spodu tzw. „Eissproste“ jest zazwyczaj dobrze wykształconą, podczas, gdy u jeleni górskich albo brakuje jej częstokroć, albo znaleźć tam można tylko guz niewielki, Już to samo wpływa na mniejszą gałęzistość górskich wieńców, a jeleń o takim rozwoju wieńców całkiem słusznie zaliczonym być musi do wyższej formy rozwojowej. Jestto poniekąd właściwość rasowa, jednak nie ogólna, do której się przyłączają inne cechy, a mianowicie wybitna perlistość i kształt łodygi zgięty łukowato i ku środkowi, wskutek czego wieńce górskich jeleni nie odznaczają się zbyt wielką rozpiętością końcowych gałęzi. W wyjątkowych razach wygięcie łodygi jest tak silne, że gałązki koronowe niemal końcami się stykają. Nadzwyczaj piękny okaz tego rodzaju posiada muzeum hr. Dzieduszyckich, jest to w całem tego słowa znaczeniu wieniec.

W wielkiem przecięciu waga ciała jeleni błonnych jest zawsze wyższą, a szczególnie u ras żyjących na żyznych

porzeczach. Przeciwnie drobnieje w kształtach i wadze jeleń wśród jałowych okolic górskich, jakie się często w Alpach zdarzają, niedostatki odbijają się również i na wieńcach jako w utworze, potrzebującym wielkiej masy pokarmów w krótkim okresie osadzania tychże. Wieńce pojawiają się w formach zacofanych, drobnych, częstokroć nie wychodzą poza formę szostakową, a nie brak i takich, które dożywotnie pozostają w formie śpiczaka.

Mniej na stosunki otoczenia wrażliwy jeleń nie wytwarza tak często jak kozioł form myłkusowych, jednak i tu myłkusy nie należą do rzadkości, a powodują je podobne względy jak u kozłów. Zapisawszy przed kilku latami sporo szpalt „Łowca“ omawianiem patologicznej strony porostków koźlich, nie chcę się powtarzać, zasadniczo bowiem powstawanie anormalnych myłkusowych form wieńców jeleni na tych samych prawach polega.

W porze wiosennej jeleń zrzuca wieńce, starszy wcześniej, młodszy później tak, że jeszcze w maju zdarzają się spiczaki i widlaki z wieńcami. Jestto norma ogólna, obok której istnieje wiele wyjątków bądź osobniczych, bądź lokalnych, powodowanych albo stanem zdrowia jednostki, albo działaniem otoczenia i warunków siedliska.

Nie dziw, że odnalezienie małych porostków koźlich jest rzeczą trudną, lecz i niełatwem jest odszukanie wieńców zrzuconych, pomimo częstokroć ich przeszło metrowej długości i kształtów nienadających się do ukrycia, nie łatwem jest odszukanie czy to prawej czy lewej łodygi (!) Po tysiącleciu trwającym sporze pogodźcie się przeto cienie na elizejskich polach! wszyscy mieliście słuszność, bo odnalezienie obu łodyg wieńcowych jest rzeczą trudną. Ani prawa ani lewa łodyga oku się nie narzuca, zwierz zrzuca je w gęstwinie, zagrzebuje liściem i zdartą z ziemi powłoką mchów, lub czyni to w miejscach trudno dostępnych częstokroć grząskich, gdzie swym własnym ciężarem zapadają lub w tratowaniu giną pod powierzchnią ziemi. Już w starej Grecyi przysłowie uświęciło zagadkowość takich miejsc, gdzie jelenie wieńce zrzucają, przysłowie to naprowadza Aristotelesa w swym traktacie o jeleniu (Libr. IX Cap. 9) „tam gdzie jelenie wieńce swe zrzucają“ „οὗ αἱ ἔλαφοι τα κερατα αποβαλλουσιν“ mniej więcej nasze: „szukaj wiatru w polu“. Bardzo znaczna część wieńców przepada na zawsze, wpadłszy bądź w wodę, bądź w bagno, inne ten sam los spotyka w próchnach powałów, w ściółce. Małą część wynurza jakiś stek okoliczności w stanie rozkładu częściowego, a już najmniejsza wpada za świeża jeszcze w ręce człowieka i to przy pomocy bądź psów, bądź zwierzyny rozmaitego gatunku, która dybiąc za znajduchami (zrzucone wieńce) ułatwia ich odszukanie. Mimo przykrycia łodyga od pierwszej chwili nie jest zabezpieczoną od napadu i rzadko kiedy wpadną w ręce człowieka znajduchy, na którychby już nie było śladów rozmaitych ząbków, lecz nawet same jelenie i łanie, pierwsze w porze odrostu, drugie w porze karmienia wyszukują je i w rozmaity sposób ogryzają. Ogryzanie odbywa się w sposób nader charakterystyczny i nie pozostawiający żadnej wątpliwości, bo tak gałązki koronowe jak i łodyga noszą na sobie ślady owych zębów jeleni. Połowiczny rozkład substancyi wieńców ułatwia i znalezienie, wydając pewną woń, i ogryzanie, gdyż substancya się nieco rozluźnia, a w pewnem stadyum rozkładu cała łodyga rozmiękcza się do tego stopnia, że może być doszczętnie zjedzona. Posiadam kilka znajduchów z naszych i bukowińskich gór, na których zęby jelenie ukazują się w całej, najwyraźniejszej plastyce.

W górach szkockich leśniczy James Inglis (Wszechświat 1884 Nr. 20 Warsz.) przekonał się naocznie o wykonaniu tej operacyi przez jelenie. Myszy leśne i norniki dają się najczęściej rozpoznać na powierzchni znajduchów, zdradzając się swym gryzoniowym, drobniutkim śladem żelców. Dzik, jak we wszystkiem co robi, jest i tu brutalnym, ogryza i obłamuje całe gałęzie, to znów z całą łodygą nosi się jakby z jakim skarbem, póki ją do granic możliwości nie zmaltretuje porzucając resztę już nawet dla świńskich zębów nieprzystępną.

Czem znajduch jest więcej zmineralizowanym, tem mniej jest narażony na uszkodzenie przez zwierzęta, które szczególnie chętnie dobierają się do części niewykończonych. W szczególności wieńce młodych i bardzo starych jeleni, u których już jest osłabioną odtwórcza siła, przeto końce gałązek niezupełnie są wykończone, napada zwierz najchętniej, ogryzając przeważnie szczyty gałązek.

Gdyby jeleń odrazu pozbywał się obustronnie swej ozdoby, doparowanie znajduchów byłoby łatwiejszem, jednak zazwyczaj pomiędzy zrzuceniem obu łodyg upływa częstokroć kilka dni, zwierz staje się niecierpliwym, męczy go widocznie nierównowaga wyjątkowa, przenosi się z miejsca na miejsce, stara sobie dopomódz w zrzuceniu nieznośnego balastu, lecz to ból sprawia, wreszcie pozbywa się obrzydłej tyki gdzieś w wielkiem oddaleniu od miejsca, gdzie pierwszą zrzucił i z pewną wściekłością usuwa z widoku przedmiot, który mu tyle nieprzyjemności sprawił i bolu, grzebiąc go w liściu i w ziemi.

Temu to przypisać należy, że pośród większej ilości znajduchów, pochodzących z jednego rewiru jeleniego tak mało da się dostrzedz par.

Wyszukiwanie znajduchów jest zwykle funkcyą straży leśnej, która zachęcona pewną premją włócząc się po lesie jeszcze najprędzej w posiadanie ich wejść może. Towar taki, o ile sam właściciel nie użyje go do jakichś celów ornamentalnych, znajduje zawsze chętnych i dobrze płacących odbiorców (do 1·50 zł. za klg. wagi, a nawet i wyżej, zależy to od jakości). Co pośledniejsze, uszkodzone, nieparzyste, pożera przemysł i przeróbka, a co tylko lepsze nawet nieparzyste tylko doparowane, idzie na trofea dla całej zgrai łaciników, którzy takimi tokarskimi trofeami na podrobionych czerepach zachwycają się w najlepsze.

Krom wieńców daje jeleń jeszcze jedno trwałe trofeum, które osobliwie w nowszych czasach stało się surogatem drogich kamieni w biżuteryi rozmaitego przeznaczenia. Jest niemi rodzaj kłów, wyrastających po jednemu w szczęce górnej jedynie tylko u gatunku jelenia, gdyż ani daniel ani sarna czegoś podobnego nie posiada. Jak we wielu miejscach terminologii jeleniej, tak i tutaj jest luka, snać nasi dawni myśliwi nie zwracali uwagi na ten utwór, to też nie ochrzczono go, a termin obecnie używany jest wprost z niemieckiego przyswojony. Otóż te grandle, jeżeli już nie może być inaczej, spopularyzowały się i u nas.

Na zachodzie każdy myśliwy uważa za swój obowiązek wydostanie grandli ze szczęki świeżo ubitego jelenia, następnie w oprawie srebrnej lub złotej nosi je przy łańcuszku zegarkowym, lub znów w spinkach lub broszkach zdobią one piersi piękniejszej połowy myśliwskiego świata. Zazwyczaj grandle łań w równych warunkach są mniejsze, często brakuje ich u obu płci, lecz zdarzają się wypadki, gdzie tylko jeden grandel wyrasta po jednej stronie, w innych znów fenomenalnych razach wyrasta aż 2—3 po jednej, a jeden po drugiej stronie. Najokazalszymi są gran-

dle młodszych jeleni, gdzie jeszcze zużycia nie widać, a górna powierzchnia wypukła porcelanową lśni białością.

Z wiekiem zużycie coraz dalej postępuje, wypukłość znika, ząb staje się coraz krótszy, a na startej powierzchni znaczą się pierścienie brunatnej barwy niby na przekroju drzewa, wreszcie cały grandel przybiera barwę prawie hebanowej czarności.

Zdawałoby się, że wartość jaką przykłada myśliwy do grandlów, jest czystem „pretium afectionis“, jak każde trofeum dla swego zdobywcy — jednak tak nie jest, ornamentalną wartość tego przedmiotu uznaje i przemysł, skutkiem czego utwór ten stał się także przedmiotem handlu. Cóż to za rozmaitość surowych wytworów natury w obramowaniach przemysłu artystycznego służyć ma modzie i pięknu? Raciczki — szpony, kły zwierząt drapieżnych, szpony ptaków, strugi zwykłego szaraka — dla czegożby miał na uboczy pozostać w istocie piękny wytwór jakim są grandle? Nihil sub sole novum — po wycieczkach na rozmaite pola, po przeładowaniu zmysłowych wrażeń niezliczonymi utworami kombinacyj linii i kształtów, powraca od czasu do czasu myśl do pierwotnej prostoty przyrody i cieszy się, ja to w zamierzchłych czasach bywało, jej wspaniałymi kształtami prawdy, niby drogim, bo ojczystym klejnotem.



POLOWANIE NA NIEDZWIEDZIE.

POLOWANIE W AFRYCE.

Koloniści południowej Afryki zdołali się już pozbyć lwów i słoniów, lecz nie mogą dotąd poradzić sobie z pawianami. Pawian, jest to małpa podobna do psa i bodaj czy nie najbrzydsze stworzenie na świecie. Boerowie, odznaczający się dowcipem trochę ciężkim, zwą małpę tę adonisem i nie dają jej nigdy nazwy wskazanej przez zoologję. Ten potwór jest plagą kolonij Kapu Czyni on szkody jedynie przez miłość dla sztuki. Kot, oddaliwszy się nieostrożnie kilka kroków za dom, pada ofiarą pawiana. W ten sposób znikły angory, najkosztowniejsze ze zwierząt zbytkowych, sprowadzonych do Afryki południowej. Psy doznają tego samego losu. Nawet pochodzące z najdzielniejszych ras angielskich, nie mogą mierzyć się z pawianami, które posiadają taką samą siłę w szczękach, a mają jeszcze tę wyższość nad przeciwnikami, iż zamiast czterech łap, posiadają cztery ręce. Pawian ze zręcznością, przynoszącą zaszczyt swej rasie, chwyta za gardło i pojedynek w minutę kończy się śmiercią psa. Chociaż pawian żywi się przeważnie jaszczurkami, przy sposobności nie gardzi i kęsem dobrej baraniny. Biedne kozy i owce, które dostaną się w moc tego potwora! Adonis stara się zabijać je jak najwolniej, bo cieszy go widok tortur, zadawanych niewinnym ofiarom. Pawiany nie śmią atakować wołów, lecz krowom zadają ciężkie rany, które zazwyczaj są śmiertelne. Strusie, dzięki szybkości swych nóg, nie obawiają się zazwyczaj pawianów, lecz łatwo przestraszają się ich szczekaniem. Godnem uwagi jest to, iż natura obdarzyła pawiana nietylko głową psią lecz i głosem. To też szerzą one panikę pomiędzy ptakami, które wogóle nie grzeszą inteligencyą.

Jedną z głównych rozrywek pawianów, jest niecenie postrachu między strusiami oswojonemi, trzymanemi w specyalnych parkach, otoczonych żelaznym drutem. Pomiędzy biednemi zwierzętami wszczyna się taka panika, iż biegają jak szalone z jednego końca w drugi, łamiąc sobie nogi. Pawian ucieka przy spotkaniu się z mężczyzną, lecz kobieta nie przestrasza go.

By się uwolnić od tego strasznego marudera, koloniści Kapu nie cofają się przed najnielojalniejszemi środkami. „Kluby trucicielskie“, subwencjonowane przez państwo, stały się w całej Afryce południowej instytucyami kwitnącemi pod protektoratem władz angielskich. Ale daremnie uciekano się do pomocy najsilniejszych trucizn i najniebezpieczniejszych środków, wynalezionych przez chemię współczesną.

Pantery i szakale zawsze zgłodniałe, połykają bez trudności kilka gramów arszeniku lub strychniny, umieszczonych w ćwierci mięsa, ale pawian nie daje się podejść tymi sposobami. Małpy te, o smaku delikatnym i wyrafinowanym, żywią się jajami, owocami, jaszczurkami i rozmaitymi owadami i tylko od czasu do czasu jadają mięso, gdy mają

ochotę zabawić się męczarniami zwierząt domowych. Ich nieomylny instynkt nakazuje im nie dowierzać człowiekowi, obdarzającemu ich podarkami. Przy pomocy cudownego swego powonienia odkrywają odrazu obecność trucizny roślinnej lub mineralnej w kawały podrzuconego, jakby przypadkiem, mięsa i są o tyle ostrożne, iż nigdy nie połkną pigułki.

Farmacya tegoczesna nie posiada żadnego środka przeciwko pawianom, których z pewnymi widokami powodzenia miejscowi mieszkańcy atakują wprost, chociaż i ten sposób nie zawsze bywa skuteczny. Inteligencya niemal ludzka tych zwierząt stała się przysłowiową. W chwilach siesty otaczają się strażami, których czujność nie pozostawia nic do życzenia. Na pierwsze ostrzeżenie krzykiem tych małpich posterunków cała czereda znika w mgnieniu oka. Należy tu nadmienić, że nie ucieka przed człowiekiem nieuzbrojonym w karabin. Dla broni białej żywi pogardę i nic sobie z niej nie robi. Przy spotkaniu z kolonistą uzbrojonym tylko w nóż myśliwski, pawian zaczyna rzucać na niego kamieniami, i król stworzenia musi często rejterować przed batalionem bombardujących małp.

Koloniści miejscowi zazwyczaj w nocy przygotowują odwet nieprzyjacielowi, którego napady rujnują w kilka godzin najbardziej kwitnące osady rolne. Polowanie na pawiany przypomina wyprawy przeciwko plemieniom basutów lub zulusów. Najcenniejszymi pomocnikami rolnictwa afrykańskiego są Kafrowie, którzy okazują wiele zaparcia siebie w tego rodzaju przedsięwzięciach wojennych. Przed zachodem słońca otrzymują polecenie otoczenia zarośli, w których pawiany założyły obozowisko. Następnie bardzo wolno zaczynają zacieśniać koło, zmuszając pawiany do zgromadzenia się na pagórku, na który mają zwyczaj chronić się w razie niebezpieczeństwa. Około północy zjawia się kilkunastu kolonistów. Wiadomo, iż strzelcy południowej Afryki są niedoścignieni w swej sztuce. Znany przyjaciel i powiernik cesarza Wilhelma, p. Pontney Bigelow, w szeregu artykułów, umieszczanych obecnie w „Harper's Magazine“ opowiada o wyprawach myśliwskich Krügera. Prezydent rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej jeszcze dziś strzela tak, że mógłby mu pozazdrościć niejeden z głośnych strzelców Buffalo-Bill. Gdy przyszły transwaalski mąż stanu chodził do szkoły, rodzice dali mu strzelbę, by bronił się przed drapieżnemi zwierzętami, a w razie potrzeby i przed Kaframi. Można więc pojąć do jakiej pewności oka dochodzi myśliwy, który rozpoczyna wprawiać się w siódmym roku życia.

Myśliwi w liczbie kilkunastu otaczają pagórek, na którym ulokowało się stado pawianów. Manewr ten odbywa się w głębokiej ciszy. Około godziny 4 rano kamień rzucony lub trzask gałęzi oznajmiają, że pawiany się obudziły.

Zwierzęta najpierw badają czy nic podejrzanego nie widać na horyzoncie. Nagle rozlegają się strzały i pawiany ugodzone kulami wydają straszne, niemal ludzkie krzyki. Zazwyczaj kilkadziesiąt pawianów pada na placu, a ponieważ zwierzęta te nie przynoszą żadnego pożytku, myśliwi poprzestają na odcięciu ogonów w celu otrzymania nagrody rządowej po 3 fr. 75 centim. za sztukę Zapytano raz pewnego starego boera czy jest zadowolony z ostatniego polowania na pawiany. — „Polowanie było przepyszne — odrzekł. Zabiliśmy czterdzieści małp i dwóch ludzi“. Z odpowiedzi tej można powziąć wyobrażenie, jakie niebezpieczeństwo towarzyszy takim wyprawom. Zresztą niezręczność strzelców nie bywa przyczyną smutnych wypadków. Prawdziwy „Afrykander“ (tak zwą tamtejszych kolonistów), nigdy nie chybia, ale strzelając nie namyśla się wcale. Najmniejszy ruch w gąszczy, uczyniony przez krajowca, którego przy pierwszym brzasku dnia trudno bywa odróżnić od małpy, grozi mu śmiercią od kuli karabinowej.



DZIKIE GOŁĘBIE.

(Wspomnienie z młodości).

Napisał

ABGAR SOŁTAN.

[Ciąg dalszy]

Nazajutrz rano, nie czekając na spotkanie z panną Zofią, wybrałem się do kościoła. Wskutek tego, że babunia po podróży z Pomaniówki i wczorajszej irytacyi, nie czuła się dobrze, nikt więcej się od nas na mszę świętą nie wybrał. Szczegół ten dogadzał mym zamiarom, w obecności bowiem mamy i babuni traciłem zupełnie kontenans i stawałem się niepomiernie nieśmiały.

Wszedłszy do kościoła odrazu ujrzałem pannę Jadwigę, siedzącą obok swych rodziców w kolatorskiej ławce; ulokowałem się tuż obok i rzucałem na nią sentymentalne spojrzenia. Sentymentalizm ten jednak połączony był z pensyonarską wprost nieśmiałością, bo jak tylko panienka ta oderwała oczy od książki, z której się modliła i spojrzała w mą stronę, tom natychmiast oczy

spuszczał do ziemi i z dziwną zaciętością badałem wzrokiem w jaki sposób stykają się na kościelnej posadzce białe płytki piaskowca z czerwonemi.

Do Pana Boga mało się tego dnia modliłem, ale zato za dużo do wyśnionego, upragnionego całą duszą ideału kobiecego, który podówczas był się dla mnie wcielił w przesadnie wysoką i należycie niezgrabną postać panny Jadwigi.

Gdy msza się skończyła, stałem w drzwiach zakrystyi tak długo, aż panna Jadwiga w towarzystwie rodziców nie przeszła obok mnie... Skłoniłem się wówczas, naturalnie okropnie niezgrabnie, lecz straciłem zupełnie przytomność dopiero wtenczas, gdy pani mej wyobraźni, głosem cichym i przytłumionym spytała mnie wprost:

— A sióstr pańskich nie ma dziś?...

— Nie ma... Babunia trochę niezdrowa — odpowiedziałem, wysilając się na odwagę.

Pamiętam, że rozmowa ta wówczas nie sprawiła mi nadzwyczajnej rozkoszy, dopiero później, gdym zaczął kombinować i rozbierać każde jej słowo i każdy ruch, tom z tej rozmowy wyciągał wnioski bardzo daleko idące i wiele obiecujące. Była ona wreszcie nadzwyczajnie krótka, bo panna spytała mnie jeszcze:

— A będzie pan u księdza proboszcza?

Chciałem jej odpowiedzieć, że po to, aby ją zobaczyć, tobym przebył Karpaty, Alpy, Kordyliery i Himalaje, przeszedłbym ogień i wodę, a w rzeczywistości odpowiedziałem:

— A naturalnie!... przecież...

I ugryzłem się w język nie dokończywszy: „przecież pani tam będzie“... bo popatrzyła była w tej chwili na mnie i wszelka odwaga zupełnie mnie była odpadła.

Wyszli więc nasamprzód państwo Okrzewscy z córką panną Jadwigą, później pani Lisowska z dwiema córkami, ciekawemi i bardzo fertycznemi pannami. Dalej z trudnością włóczył nogami stary kawaler Przytoski, zwany powszechnie „stryjaszkiem“, a obok niego podskakiwał zabawnie drugi stary kawaler, pan Seweryn Stawery, powszechnie nazywany majorem. Ja zamykałem pochód... Szedłem strasznie zadumany; miałem zamiar opowiedzieć pannie Jadwidze moje zapoznanie się z Kondraszkiem, rozognić jej dziewiczą wyobraźnię zapowiedzią naszych przygód myśliwskich i obiecać jej w zgrabny sposób, że wszystko, co położę z mej lufy, to złożę u jej stóp, jako hołd należny królowej mego serca. Układałem w myśli tę przemowę i kombinowałem okoliczności, jakie jej będą towarzyszyć... „Majora“ ani „stryjaszka“ nie bałem się ani krzty, ale żenował mnie trochę udział w rozmowie panien Lisowskich, a już przed samą panią Lisowską truchlałem w całem tego słowa znaczeniu... Była słuszna, dziwnie wysuszona, a uśmiech miała tak ironiczny i jadowity, że się jej wszyscy w naszem sąsiedztwie bali, jak zarazy.

Rozmyślania te niedługo trwały, bo plebania od kościoła leżała o jakie dwieście kroków... W progu plebanii dodał mi animuszu ksiądz proboszcz, uściskawszy mnie kordyalnie i wołając na powitanie:

— A, witam, witam! Cóż tam nasz kawaler porabia? Z balu na bal... Słyszałem, słyszałem od księdza kapucyna z Ilkowiec, jakieś to tam wywijał senatorskiemi pannami, hrabiankami i marszałkownemi, jak jakiemi pomiotłami... He! co? zuch nasz kawaler!

Rozczulony taką pochwałą pocałowałem proboszcza z dubeltówki w ramię i odrazu postanowiłem wpaść w samochwalczy zapał.

— Ot tańczyłem jak umiałem — odrzekłem z udaną skromnością — a że nie wiele się uczyłem, więc nie wiem jak to wypadło.

— E... he, he! Zbytek skromności — pycha największa... czyli grzech śmiertelny — przerwał mi ksiądz śmiejąc się serdecznie. — Już mi tam ksiądz kapucyn doskonale opowiadał.

Choćbym z ochotą był słuchał powtórzenia pochwał proboszczowskich, jednak uznałem za stosowne przerwać je, mówiąc:

— Księże proboszczu, oprócz zabawy zdobyłem coś ważniejszego...

W tem miejscu zrobiłem umyślną pauzę i rzuciłem okiem po pannach, jakie te słowa zrobią wrażenie: — były wszystkie rozciekawione, ale panna Jadwiga ani odrobiny więcej niż obie Lisowskie... Pocieszyłem się przypuszczeniem, że musi umyślnie nakazywać sobie obojętność i po przerwie trwającej kilka sekund zaledwie, mówiłem dalej:

— Zdobyłem przyjaciela... Jedynego, prawdziwego, nieocenionego przyjaciela.

Proboszcz, który miał mnie za jakąś osobliwość i zawsze wróżył mi nadzwyczajnie świetną przyszłość, zaciekawiony nadzwyczajnie moim wyborem przyjaciela, zapytał:

— He, jakże to? I kto to niby ten przyjaciel?

Wyprostowałem się wówczas dumnie, wzniosłem głowę o ile to się dało zrobić i dwa razy głośniej, niż wypadało i tego była potrzeba zawołałem:

— Mój przyjaciel, księże proboszczu, nazywa się Kazio Kondratowicz i jest synem sławnego poety Syrokomli.

Gdym spojrzał po tych słowach na obecnych, tom zdziwił się okrutnie wrażeniu, jakie moje słowa wywarły. Wszyscy byli jakby pomieszani, jakby zawstydzeni, a patrzyli na mnie tak, jak się spoziera na człowieka, który wielkie głupstwo, coś straszliwie niestosownego powiedział w przyzwoitem towarzystwie. Jakiś czas panowało głuche milczenie. Pierwszy odezwał się „stryjaszek“, uśmiechając się z ironiczną pobłażliwością:

— Jakoś, panie serce, dobrze zrozumieć tego nie mogę... Hm! hm! to ten pański przyjaciel nazywa się Kondratowicz, a jego ojciec nazywa się... Syrokomla... Całkiem, panie serce, nieczysty interes... I to niby tego pana poznał pan w Pomianówce... Dziwne czasy.

Słowa te oburzyły mnie, ale równocześnie czułem się tak zdekoncertowanym, żem nie mógł słowa przemówić. Na szczęście wyratował mnie proboszcz, który wpadł nagle w stan niezwykłego rozgniewania i spoglądając surowo na „stryjaszka“ zawołał:

— E... he, he! Tak to panie dobrodzieju zwykle bywa wszetecznikowi, wszeteczeństwo zawsze na myśli... Co pan ma tu paskudne myśli podsuwać... Nieboszczyk Kondratowicz to był szlachcic z antenatów i mój kolega ze szkół, obajśmy Litwini... Pisywał cudne wiersze czyli poezye i te dzieła podpisywał nazwiskiem swego klejnotu. E... he! he! Syrokomlą się nieboszczyk pieczętował, pamiętam, choć biedny studencina sygnet... tego... herbowy na palcu nosił po antenatach... E... he! he! rozumiesz pan, panie Sewerynie...

Proboszcz zasapawszy się przerwał. — Odetchnąłem swobodniej, uczułem znowu grunt pod nogami.!

W czasie tej rozmowy przeszliśmy z ganku przez dość ciemną sień do bawialni księdza proboszcza. Tam całe towarzystwo podzieliło się na grupy... Major, stryja-

szek, pan Okszyński i ksiądz proboszcz przystąpili do stolika, gdzie stały napitki i przekąski i tam politykując „zalewali robaka“. Panna Aniela, siostra księdza proboszcza, stara, szkaradna Litwinka zabawiała panią Okszyńską i panią Lisowską... Ja rozmawiałem z trzema pannami i szło mi już całkiem dobrze.

Puściwszy wodze bujnej, młodzieńczej fantazyi, szybowałem z brawurą wielką po wezbranych falach nadzwyczajnych przygód myśliwskich. Z zapałem opowiadałem o cudownych, nadzwyczajnych wypadkach, jakie zdarzały się memu przyjacielowi Kondraszkowi, naturalnie nie żałując zupełnie liczb, w obliczeniu jego trofeów myśliwskich. Mimochodem dałem do zrozumienia, że i ja nie jestem nowicyuszem w nemrodowym fachu i wtrąciłem nieznacznie skromną wzmiankę o jakich «tam kilku dzikach» i młodym niedźwiedziu, zabitych przezemnie... naturalnie w Galicyi... Czułem, że opowiadanie to robi na pannach wielkie wrażenie, zaczynały mi się przypatrywać z daleko większem zainteresowaniem. W chwili, gdym przerwał moje opowiadania, dla nabrania nowego konceptu, odezwała się panna Hela Lisowska:

— Oh! polowanie to śliczna rzecz!... Widziałam raz jak nasz kuzyn Antoni zabił był zająca... Oh, do tego można się roznamiętnić.

— Co, zająca? — zawołałem z lekceważeniem — cóż to za zwierzyna zając... Mój wuj Ludwik już do zajęcy nie strzela i ja jak jestem u niego, to do zajęcy nie strzelam... Zając to kuchenne polowanie.

Kłamałem jak najęty, bo po pierwsze wuj mój bardzo lubił strzelać do zajęcy, po drugie i ja sam paliłem się ogromnie do tych strzałów i strzelałem do każdego szaraka, któregom tylko zobaczył, bez względu na oddalenie, wskutek tego zaledwie na dwadzieścia strzałów udawało mi się jednego uśmiercić... Panny jednak nie poznały się na mojem kłamstwie i z uznaniem pełnem szacunku przyjęły moje przechwałki. Nic w tem nie było zresztą dziwnego. Podole wówczas nie miało broni myśliwskiej, polowania należały do wielkich rzadkości, a ktoś, kto miał stosunki w Galicyi i bywał w tym kraju, mógł bezkarnie opowiadać w sąsiedniej prowincyi niebywałe cuda, a wszyscy w to wierzyli. Korzystając z tego, opowiadałem panienkom, że Kondratowicz przyjedzie wkrótce do nas, że mam zamiar na jego cześć wyprawić wielką obławę na wilki i na dziki... Mówiąc to zwróciłem się do panny Jadwigi i szepnąłem półgłosem:

— Pani pozwoli, że co upoluję, to ośmielę się przysłać do Chełmówki i złożę te trofea pani w ofierze.

Słowa te powiedziane były z wielkim sentymentem, bo panienka zarumieniła się była jak piwonia i takie ją opanowało wzruszenie, że nie mogła nawet mówić, tylko z trudnością wielką wyszeptała:

— Dziękuję!

Nie wiem, czy rumieniec i zaambarasowanie córki, czy znany apetyt pani Okszyńskiej, którego szczupłe przekąski proboszczowskie nie zdołały były zaspokoić i który domagał się obfitego obiadu, skłoniły matkę panny Jadwigi do powstania i oświadczenia, że „już czas jechać do domu“.

Rozpoczęły się pożegnania, które tak samo długo trwały, jak przywitania i były przyczyną wypowiedzenia całej masy ceremonialnych i zdawkowych grzeczności. Nie brałem zresztą długo udziału w tych szablonowych zwyczajach, tylko pożegnawszy się, co najprędzej popędziłem do brzezinki, rosnącej za kościołem, gdzie zostawiłem był mego chłopaka z końmi. Na szczęście zastałem wszystko w porządku, co rychlej wskoczyłem na konia i nim powóz państwa Okszyńskich wyjechał z bramy plebanii, już byłem tuż obok... Konia zebrałem, że aż przysiadał zadniemi nogami do ziemi a żuł wędzidło tak zajadle, że mu odrazu kawałki białej piany z pyska padać zaczęły. Dostrzegłem wówczas, że panna Jadwiga bardzo mile na mnie spozierała, ale za to mama Okszyńska, korpulentna niewiasta, ze złością odwracała odemnie swe zarośnięte tłuszczem, małe zielone oczy... Dziwiła mnie wówczas ta niechęć pani Okszyńskiej — zdawało mi się, że nie ma żadnego powodu, dla którego ona miałaby mnie nie lubić. Byłem chłopakiem grzecznym, dobrze ułożonym, przystojnym, mieliśmy krewnych i przyjaciół daleko świetniejszych niż państwo Okszyńscy... Jednem słowem nie mogłem odgadnąć powodu niechęci troskliwej mamy panny Jadwigi do mej osoby. Później dopiero doświadczenie życiowe nauczyło mnie, dlaczego mama Okszyńska nie była rada z tego, jeżeli panna Jadwiga zanadto się zajmowała moją osobą... Rzecz bardzo prosta: Pannie Jadwidze rodzice dawali krągłych sto tysięcy posagu i pragnęli ję koniecznie wydać za bardzo bogatego choć podstarzałego pana Mekietyńskiego... Doświadczona więc mama bała się, żeby pomiędzy jej jedynaczką, a mną, nie zawiązała się zanadto serdeczna przyjaźń, mogąca pokrzyżować plany małżeństwa z brzydkim, do lisa podobnym i ciężko podstarzałym Mekietyńskim... Nie wiedziałem jeszcze wówczas, żem był mniej niż zerem w tabuli matrymonialnej. Było nas sześcioro, a interesa były w najopłakańszym stanie... O tem jednak nie myślałem, nic mnie to zresztą wówczas nie obchodziło... Siedząc na dzielnym koniu i patrząc siarczyście w oczy zarumienionej panienki, czułem się tysiąc razy lepszym niż stu Mekietyńskich.

Miałem wielką nadzieję, że mnie pani Okszyńska zaprosi na obiad do Chełmówki... Nadzieja ta okazała się zupełnie płonną. Ze dwie wiorsty od miasteczka jechaliśmy jedną drogą, bawiłem pannę rozmową i galopowałem koło powozu, wówczas mama udawała, że drzemie, na kilkadziesiąt jednak kroków, przed krzyżem, gdzie drogi się rozchodziły, obudziła się nagle, źle spojrzała na mnie swemi zielonemi oczkami, lecz uśmiechnąwszy się nad wyraz uprzejmie, rzekła głośno:

— Do widzenia panu... Proszę babuni i mamie nasze ukłony oświadczyć!

Wstrzymałem konia tak gwałtownie, że aż zarył tylnemi kopytami w grudowatą ziemię, machinalnie ukłoniłem się kapeluszem, lecz gdy powóz oddalił się o jakie piętnaście kroków, mimowolnie szepnąłem:

— Jędrna baba!... Niech ją dyabli porwą!

Ciąg dalszy nastąpi.



„WILCZY KSIĄŻĘ".

Z opowiadań starego ukraińskiego strzelca.

(Ciąg dalszy.)

Kruk — doświadczony dojeżdżacz był Litwinem — wziął główną sforę i naprowadził ją z zupełnie innej strony, od sieci z samej gęstwiny, tam gdzie była najstraszniejsza, na błocie porosła. Nie zdążył jeszcze poszczuć, gdy gończe chwyciły i pomknęły gorąco i zawyły okropnie. — Nawet serce mi z tego mało nie zamarło. Co to — myślę sobie — znaczy? Czyż w pustym lesie można tak gonić? Kto tam siedzi i ukrywa się?...

Przecież i panu wiadomo, że młode wilki niekiedy bardzo silnie trzymają się swego miejsca, szczególniej jeżeli gniazdo nie było zbite z jesieni. Niekiedy sfora zgoni w lesie młodego; a on ani razu nie wysunie się w pole. Gdyby to był młody, przezimowany, od razu wyskoczyłby w pole, do obcego lasu, a stare wilczysko, rzecz inna: ten rzadko zrobi dwa koła, a już z drugiego niepełnego, przemyśla, jakby się dostać na pole, i to nie szybko, lecz wolno, skrajem lasu lub zrębem, aby się ukryć jakkolwiek.

A tutaj, do dyaska, ktoś siedzi wśród lasu — i kwita. I sfora go nie zgoniła i na pole się nie prosi, z czego każdy mógł pojąć, że tam coś nieczystego się dzieje i jakaś okazya powinna z tego być.

Znowu stałem niedaleko skraju, przyczaiłem się, widziałem też wszystko i słyszałem dobrze. I umrę proszę pana, a tego dnia nie zapomnę — z głębokiem westchnieniem dodał Szymon.

I las oddawał dobrze głosy i sfory były wybrane jak najlepsze, dobrane psy jeden w drugiego. Szczególnie dobrymi były pana Tyszkiewicza wyżeł „Fagot" i wyżlica „Waltornia". Pies miał głos surowy, basowy, sam z siebie był ponury i zwierza nie lubił, a suka jak malowana, głosik miała jadowity i bardzo przenikliwy, trochę przeciągły. To były prawdziwe psie prowodyry, a w lesie żaden pies im nie dorównał. Już jak wsiadą na ślad i zaczną razem gonić — oddaj wszystko, a i tego mało. Chór cały wyje w lesie — ach! ach! „Fagot" basem, niesie się na czele sfory wetknąwszy nos w ziemię, a „Waltornia" zawodzi cieniutko — jakby łzami się zalewała i płakała. W lesie wtedy jakby srebrne gęśle grały, a nikt nie mógł słuchać tej muzyki bez drżenia.

Patrzę, z lasu wyskoczył obławnik, blady jak trup, krzyczy do mnie:

— Bieda! Kruk powiada, że natknęliśmy się na „Wilczego księcia". Dwa tuziny gończych już pokaleczył... a ciągle w pole nie wychodzi, lecz sam jeszcze z tyłu za psami pędzi, swoim śladem i dusi pozostałych. Widocznie „Wilczy książę" nie chce wychodzić ze swej kniei. Kruk sam widział, jak to wilczysko przegryzło nogi dwom wyżłom, skoczył do jaru i przepadł niewiadomo gdzie. Błoto tam wśród lasu takie wielkie, że pies, nie znając drogi skrajem ich nie przejdzie, a prawdopodobnie jezioro się powiększyło, dla tego, że strumień płynął po łęgu szeroko i bystro.

Nie minęła i godzina, a widzę nowe smycze puszczają od furgonów. A psy wszystko tęgie, najróżnorodniejszych ras: kurlandzkie, angielskie, litewskie, ruskie, polskie, a niektóre takie bestye, że górnym wiatrem wywęszyłyby zwierza na sto staj, a kiedy gonią szlachetnego zwierza, to już ich zając nie zbije z tropu.

Szczególnie wyżły były doskonałe. Niektóre z nich tąkie chyże, że wilk stary w małem kole nie śmiał ich wodzić po lesie.

Nagle z lasu dały się znowu słyszeć wołania:

— Bieda! Dawajcie pomoc!

Czemprędzej puścili wszystkie sfory i dalej z dojeżdżaczami do lasu.

Minęły jednak jeszcze dwie godziny bez rezultatu. Lisy prawda, pomykały często, ale na nich przy takiej okazyi nawet nie patrzano! Jedna liszka nawet tuż obok mnie przebiegła, kitą machając jak na święto, ale gdzie mi tam było w głowie strzelać do niej!

Minęła jeszcze godzina: uch, zagrały po lesie psięta, zagrały, że zdawało się, iż dusza rozstaje się z ciałem... Ale gonią bardzo sprytnie... to zagrają chórem, to umilkną, jakby zupełnie straciły ślad. Podniosłem się w strzemionach, przyłożyłem rękę do ucha i słucham, a moją smycz trzymam silnie, żeby się moje psy nie zerwały, za jakim kotem, abym nie został sam w danym wypadku!

I słyszę wyraźnie, że psy podzieliły się na cztery części... Jedne pracują w tym końcu, a drugie zupełnie w innym, zdawało mi się, że wszystkie poszły w rozsypkę, niektóre nawet wyszły na skraj lasu. Tylko jedna smycz, gdzie pracowały „Fagot" i „Waltornia" szła ciągle śladem, a Kruk, wiem, nie opuszczał jej. Jeżeli chociaż trochę tylko zboczą, Kruk nasadzi swoje wyżlęta i tak poszczuje, że cały las jęknie.. No, naturalnie, podbiegną tam i inne gończe i znowu zagrają po lesie.

Nareszcie słyszę, gonią blisko mnie... smycz musi być niedaleko.. nasiadła kogoś na łęgu, znowu zawróciła do lasu, umilkła na chwilę, i znowu zagrała jednym głosem. I tak kilka razy: psy to zupełnie blisko podchodziły do mnie, to zupełnie się znowu oddalały, tak, że ich wcale słychać nie było. Było bardzo możliwe, że w istocie jakiś ogromnie wielki zwierz dobrze obłożył się w lesie szerokimi kręgami i to chodzi pod gończymi, to sam wpada na swój ślad i goni za psami.

Słyszę krzyczą: „pilnuj!" — i w tej chwili zupełnie nawprost mnie, cała sfora, wyjąc jednym głosem, wywaliła się z lasu na czyste pole i siłą wyparła jakiegoś niewidzianego potwora.

Zwierz był cały biały, kosmaty nad miarę, a boki

i podbrzusze miał czerwonawo-żółte: wielki zaś był — Najświętsza Panno!

Widziałem ja i leśne i stepowe wilki, ale i najstarsze z nich wobec tego dyabła były szczeniętami.

Był to „Wilczy książę.“

A ile nam ta bestya psów napsuła, strasznie i wspomnieć!

Tamtejsi starcy opowiadali później, że tacy książęta wychodzą zawsze z lasu tylko na nieszczęście.

Jak go tylko zobaczyły psy — ogłupiały. Wiele młodych wystawiło pysk do góry i zawyło dziwnym głosem. Jednakże niemało psów z różnych smycz rzuciło się do niego z różnych stron, dlatego, że dojeżdżacze widząc co się święci, zaczęli się walić w jedno miejsce. Wśród psów było bardzo wiele wypróbowanych na wilka.

Miałem także smycz nie z gorszych: pies „Udar“, wielki, kosmaty i suka srokata, silna w nogach, chwytna „Majka“. Goniła w taką zamieć, że z psami o wyjściu nawet nie można było myśleć; silna była potężnie i szybki chód miała, a na wilka była zawzięta okrutnie — słów nie ma na opisanie. Jak goniła, to zdawało się, że lada chwila sama się przerwie. Trzeciego miałem na smyczy rasowego psa „Huragana“, mięszanina charta z wyżłem, długa bestya a zdrowa. Także się zwierza nie powstydził, a zając chyba bardzo wytrawny tylko uszedł mu w czystem polu; najbardziej jednak lubiłem patrzeć, jak się boczkiem podbierał do lisa. Dobry a złośliwy to był pies — dodał stary strzelec, wstrząsnąwszy siwymi włosami.

Takie psy są dzisiaj rzadkością. Tak panie.

Puściłem smycz, patrzę, a na ukos już rzną dwa kasztanowate psy ze sfory samego pana Tyszkiewicza, a za nimi w pełnym galopie mkną panowie i psiarki, wszystkie sfory mkną, tak, że całe pole zawalili.

Gdyby to był zwykły, stary wilk, to w jednej chwili psy by go powaliły i rozciągnęły, lecz to, jak już powiedziałem, był nie prosty zwierz, lecz sam „Wilczy książę“, i dla tego wszystkie psy, gdy go dopadły, w ten moment odleciały... otoczyły go kołem, ale ani jeden nie przysunął się blisko, nie doskoczył. Nawet najwięcej zacięte psy się zawstydziły: nastawiły uszu, najeżyły się, przodem, skaczą, a na zadzie siadają, wkuliwszy ogon pod siebie. U-lu-lu! Ululu! — a one nie biorą. Bieda i tyle.

A wilczysko siedzi na zadzie, stulił uszy, chlaszcze kłami, jak nożami, tu i ówdzie łeb odwraca — a łeb taki, że między uszami możnaby korzec żyta postawić.

Podbiegł sam pan Tyszkiewicz, podjechali wszyscy panowie, strzelcy szczują, zachęcają psy — a one nie biorą, ani rusz.

Wilk siedział, siedział, powstał nareszcie i poszedł przez pole, prosto łbem na psy, które rozbiegły się przed nim na wszystkie strony.

Patrzę, od lasu sunie pan Stocki, a za nim sadzą dwa jego psy obok siebie, ucho w ucho. Nie brał ich nawet na smycz, tak szły wolno. Jak tylko zoczyły wilka, ruszyły z nogi. „Grubian“ znowu wysunął się naprzód, poskoczył i odrazu wlepił się zębami w prawe ucho wilka. Kłapnęło wilczysko kłami, jakby hakiem żelaznym podchwycił „Grubiana“ pod brzuch i odrazu całe trzewia wywalił mu na ziemię. Jednakowoż w tej chwili jeszcze dwa czarne psy wlepiły się w boki wilka, a potem reszta zaczęła go szarpać: to za kark, to za grzbiet, to za łapy; mój „Udar“ także go złapał za ucho, jakiś wyżeł chwycił go pod gardło — siłą przewrócili go do góry nogami — jak mrówki tak się na nim porozłaziły. — Jednakże i wilczysko oprzytomniało prędko: z początku podjął zad, jak się wstrząsnął, tak się wszystkie psy rozleciały, jak śliwki, a moją sukę kłem zdjął z boku, tak że jej rozwalił przednią łopatkę. Zakręciła się moja biedna „Majka“, zawyła i odbiegła. A prócz niej siedmnaście psów już się walało po ziemi rannych: jedna ma przegryzioną nogę, druga rozdarty pysk, trzecia otwarty bok.

Jednakowoż „Grubian“ nie dał za wygraną, znać, że się pies zawziął: zjeżył się cały, trzęsie się, plącze się nogami w swoich własnych kiszkach, a zwierza nie puszcza. Srogo i okrutnie strząsał nim „Wilczy książę“ tu i tam, a „Grubian“ wpił się w niego, jak pijawka.

Widząc to i inne psy nabrały odwagi i znowa rzuciły się na złoczyńcę, a i sam pan Tyszkiewicz zlazł z konia, poszedł na wilka — i zasadził mu nożyk prosto pod lewą łopatkę.

No, a cóż Stocki? — zapytałem mimowoli.

— A cóż proszę pana, co tu ukrywać: na miejscu dostał pomięszania zmysłów.

Jak dostali „Wilczego księcia“, zaczęli psy rozganiać harapnikami. Wtedy i „Grubian“ podniósł się z ziemi, i poszedł wprost do swego pana, ogonem macha, a kiszki za nim wloką się po błocie... Przykro było na to patrzeć!

Jak tylko spojrzał Stocki na swego przyjaciela, padł na ziemię jak martwy. Wtedy też pomieszał mu się rozum.

Pan Tyszkiewicz ofiarował mu pieniądze za „Grubiana“, a Stockiego umyślnym odesłali do Bonifratrów do Warszawy, nic jednak nie pomogło. Powiadają, że tam umarł.

Ale tak też powinno było być — dodał Szymon — nie darmo przecież powiadają, że zabicie „Wilczego księcia“ czemś okupić trzeba. Starzy leśnicy mówili, że bez ludzkiej krwi i bez biedy taka sprawa nigdy się nie obejdzie. Dlatego to tym książętom nie pozwolono częściej wychodzić na świat Boży, jak raz na sto lat.

Tak, panie, tak mówili w dawnych czasach, a teraz już nie wiem, prawda to czy nie?

Stary strzelec odetchnął głęboko i zabrał się do jedzenia. Zajadając pieczone kartofle z solą, jednocześnie oblepiał gliną mokrą zupełnie oskubane, lecz nie wypatroszone drozdy, które przed nim leżały w szeregu, na trawie. Następnie te gliniane kule włożył do ognia, a w jednej chwili każda z nich zmieniła się w gliniany garnuszek, zamknięty hermetycznie, w którym razem z kawałkami słoniny, smażyła się smaczna dziczyzna.

W każdym ruchu, w każdem słowie starego strzelca przebijało się doświadczenie i zdolność zastosowywania się do wszystkich okoliczności włóczęgowskiego życia myśliwskiego.

Z szczególną rozkoszą wpatrywałem się i wsłuchiwałem w tego ostatniego z Mohikanów, siedzącego przedemną w swym dawnym kostjumie i dawnem uzbrojeniu.

I jakby dla większego kontrastu, obok tej potężnej postaci, przesiąkniętej swego rodzaju poezyą, rozwalił się młody myśliwy, Oleś. Ani poetycznego uczucia dla otaczającej go przyrody, ani upodobania w myśliwstwie, ani wiedzy — słowem nic nie było można odkryć, patrząc na jego bezczelnie głupią twarz, przedwcześnie zniszczoną wszelkiego rodzaju wybrykami. Patrząc na jego suchą, zgarbioną postać, coraz większą odczuwałem dla niego pogardę.

— Oto teraz — myślałem — bawi się fuzyjką, a ju-

który u nas należy do najszkodliwszych ptaków, lecz na szczęście jest u nas bardzo rzadki; szczególniej użyteczne dla rolników są oba gatunki myszołowców, oraz pustułka Tablice są alfabetycznie ułożone, i zaopatrzone w rysunki, przedstawiające znamiona ptaków drapieżnych.

Z przestrachu. Do *Kur. Warsz.* donoszą z Nowomińska: „Niezwykły wypadek zdarzył się niedawno w majątku Kuflew niepodal Mrozów. Stróż leśny, Jan Sujak, obchodząc w nocy rewir Biernatowiznę, natrafił na legowisko dzika, których w naszej okolicy jest nie mało. Stróż poszczuł dzika psem, skutkiem czego dzik rzucił się na Sujaka. Stróż schronił się na drzewo, ale ze strachu dostał obłędu i w przeciągu dwóch dni zakończył życie.

Wilk w wagonie. W ub. mies. odegrała się na dworcu kolei państw. w Peszcie dziwna scena. Pociąg, idący z Wiednia, wiózł także wilka w klatce, któremu udało się podczas jazdy wydostać z więzienia. Gdy wieść o tem doszła do uszu podróżnych, powstała wielka panika, a skoro pociąg przybył na dworzec budapeszteński, śpieszyli wszyscy gorączkowo do wyjść, z obawy przed wilkiem. Policja kazała zastrzelić dzikie zwierzę, co też się stało; jednakże dopiero szóstym wystrzałem ubito wilka.

Łacina łowiecka.

Królestwo.

Porwany wdziękiem balów królowej,
Król łowów pojął za żonę ją,
Lecz gdy już minął tydzień miodowy,
Oboje sobą znudzeni są!
Bo on królestwem kniei się chwali
I do poddanych powracać chce,
A ona pragnie w balowej sali
Objąć czem prędzej królestwo swe.

Pana Prawdzickiego z Wymysłowa dziwna opowieść.

(Ciąg dalszy)

Ponieważ załatwienie interesu mego wymagało po mnie długiego pobytu, przeto miałem kilka miesięcy czasu, tak czas jak pieniądze w sposób najszlachetniejszy dowolnie zabić, przeputać. Nie jedną noc spędziłem przy kartach, nie jedną wśród brzęku pełnych kielichów. Zimno tamtejszej okolicy i obyczaje ludzi przyznały butelce w towarzyskiem pożyciu daleko wyższy zaszczyt, aniżeli u nas w trzeźwych Kujawach. Tam to widywałem ludzi, którzy w szlachetnej sztuce odwilżania gardzieli a wysuszania butelek mogliby za prawdziwych artystów uchodzić. Wszyscy atoli byli chłystkami i partaczami w porównaniu z jednym rotmistrzem ponsowej twarzy, ze szpakowatym wąsem, który raz w jednej zaciętej rozprawie z Turkami górną część czaszki utracił był, i dla tego, ilekroć obcy człowiek do towarzystwa zawitał, z uprzejmą otwartością się uniewinniał, że przy stole kapelusz na głowie zatrzymać musi Tenże jadał ze mną i miał zwyczaj przy stole jedną karafkę czerwonej cieczy wypróżniać, a po stole ampułką araku się kontentować, albo wedle okoliczności, zwłaszcza na prośby nalegające gospodarza, doskonalsze da capo uczynić. Jednego razu nie było można dostrzedz u niego znaku opilstwa. — Rzeczy tej nie prędko uwierzycie — nie mam wam za złe, moi panowie, albowiem ona i moje pojęcie przechodzi Długo nie umiałem sobie wytłumaczyć tego, nareszcie przypadkowym sposobem udało mi się ten wielki problem rozwiązać. — Rotmistrz zwykle od czasu do czasu kapelusza uchylał; widziałem to często nie myśląc sobie przy tem nic złego. Że mu czoło się zapociło, było rzeczą naturalną. Na końcu atoli widziałem, że wraz z kapeluszem podnosił także srebrną do tegoż przytwierdzoną pokrywę, która mu za czaszkę służyła, i że potem wszystek wyziew skonsumowanego, spirytualnego trunku lekkim obłokiem do góry się wznosił. A tak zagadka odgadniętą została. Powiedziałem to kilku przyjaciołom i oświadczyłem się, ponieważ właśnie wieczór był, gotowym do stwierdzenia tego, co powiedziałem. — Stanąłem z fajką za krzesłem rotmistrza, i w chwili, kiedy tenże kapelusz wsadzał zapaliłem fidibusem unoszący się wyziew, i ujrzeliśmy natychmiast nowe, równie jak piękne widowisko. Obłok unoszący się nad głową bohatera naszego zamienił się w słup ognisty i ta część wyziewów, która się jeszcze między włosami kapelusza snuła, tworzyła nimbus cudnego, niebieskiego ognia. Eksperyment mój nie ukrył się przed wzrokiem rotmistrza, jednak go mało a nawet wcale nie obraził; człek poczciwy pozwolił nam jeszcze kilka razy powtarzać doświadczenie, jemu tyle wspaniałego pozoru przyczyniające.

Pomijam tu niejedną pocieszną scenę, która wśród takich okoliczności i przy takiej sposobności zaszła, gdyż zamyślam wam różne przygody myśliwskie opowiadać, które mi ciekawszemi i bardziej zajmującemi być się zdają. Możecie sobie łatwo wyobrazić, moi panowie, że się zawsze przed wszystkimi takich dzielnych kompanów trzymałem, którzy otworzystą, nieograniczną knieję należycie cenić umieli. Czas w ten sposób najprzyjemniej spędzony, równie jak nadzwyczajne szczęście, które krok w krok za mną postępowało, budzą we mnie i budzić będą jak najmilsze wspomnienia.

Jednego ranku ujrzałem przez okno mojej komnaty sypialnej, że wielki staw, blisko podwórza się rozciągający, dzikiemi kaczkami niemal był przepełniony. W mgnieniu oka biorę strzelbę z kąta, zlatuję po schodach i wprawdzie tak zaciekle i nieostrożnie, żem nosem w podwoje uderzył. Iskry sypnęły mi się z oczu, ale to mnie bynajmniej nie zatrzymało. Wnet się na strzał zbliżyłem, ale na moje wielkie zmartwienie ujrzałem, że podczas przeklętego uderzenia się skałka z kurka mi wypadła. Cóż miałem robić? Każda chwila była jak najdroższą. Na szczęście przypomniało mi się, co przed chwilą z oczyma memi się stało. Otworzyłem zatem panewkę, wymierzyłem sobie pięścią w jedno oko Od takiego razu sypnęły się iskry, strzelba puściła i ubiła pięć par dzikich kaczek, cztery łasice i parę cyranek. Przytomność umysłu bywa duszą mężnych czynów. Jeżeli żołnierze i marynarze często przez nią ocalonymi bywają, to nie mniej myśliwy zawdzięcza jej nieraz swoje dobre powodzenie.

I tak pływało raz po jeziorze, do którego podczas jednej wycieczki myśliwskiej zaszedłem, kilkadziesiąt dzikich kaczek za nadto od siebie rozrzuconych, bym mógł spodziewać się na jeden wystrzał więcej, niż jednę ubić; zresztą na nieszczęście ostatni mój nabój był już w rurze. Mimo to jednak radbym był wszystkie kaczki sprzątnąć, albowiem zamyślałem w krótce sprosić do siebie na hulankę huk przyjaciół i znajomych.

(C. d. n.)

Od wydziału Towarzystwa.

Stosownie do wniosku Leopolda hr. Starzeńskiego postawionego na nadzwyczajnem walnem zgromadzeniu członków gal. Towarzystwa łowieckiego, Wydział Towarzystwa uprasza pp. delegatów, aby raczyli dowiedzieć się czy członkowie Towarzystwa, zamieszkali w ich okręgu, mają zamiar sprowadzić w celu rozmnoży żywe kuropatwy i uwiadomili o tem Wydział Towarzystwa, który postara się o to, aby zamówioną ilość kuropatw w jak najlepszym gatunku i jak najrychlej członkom dostawić. O cenie kuropatw dostaną ci członkowie, których nazwiska delegaci Wydziałowi przeszlą listami, zawiadomieni, jak również o terminie, kiedy im kuropatwy zostaną przesłane. Wydział nawiąże rokowania z hodowcami kuropatw i postara się o jak najszybsze załatwienie wszystkich zamówień. Wszelkie zapytania w tej mierze należy przesyłać do Wydziału gal. Towarzystwa łowieckiego we Lwowie pl. Halicki l. 14.

Od Redakcyi.

Prenumeratę na ŁOWCA oraz zaległe wkładki upraszamy przesyłać pod adresem: Galicyjskie Towarzystwo łowieckie we Lwowie pl. Halicki l. 14.

Wszelkie reklamacye, zapytania, oraz listy do redakcyi i administracyi ŁOWCA, należy przesyłać pod adresem redakcyi i administracyi ŁOWCA we Lwowie pl. Halicki l. 14.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya „Łowca“: Lwów, pl. Halicki 14. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**
Z drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie, ul. Sobieskiego 16. — pod zarządem Fr. Kattnera.